



**Biuletyn
Otręcki 18**

Wstępniak

Ten fachowy tytuł nie oznacza, iż Biuletyn Otrycki stanie się czymś bardziej podobnym do profesjonalnych pism, niż był dotąd. Chciałam chyba dodać sobie odwagi i powagi. Nie czuję się jeszcze w roli redaktora. /Naczelnego zresztą/.

Na wstępie żegnam Marka jako redaktora B.O. oraz dziękuję Mu za wszystko, co dla Biuletynu zrobił. Dziękuję!!!

Chciałabym nie zawieść Waszych, mili Otrytczycy, nadziei pokładanych w każdym redaktorze naszego pisma. Tak sobie myślę, że dobrze byłoby, gdyby za mojej kadencji Biuletyn Otrycki był co najwyżej troszkę tylko gorszy od dotychczasowych numerów. Mam tremę, lecz tęszę, iż spotkam się z pomocą byłych, aktualnych i potencjalnych przyszłych autorów. Wierzę też w Prezesa K.O. - nie zostawisz mnie Marku tak zupełnie sam na sam z Biuletynem, prawda?

Daleka jestem od obiecywania czegokolwiek, gdyż i tak w naszej rzeczywistości coraz częściej sprawdza się powiedzenie o obiecankach-cacankach, głupim i jego radości. Nie chcę także rzucać się w ryzykowne przedsięwzięcia typu: całkowita zmiana ugruntowanego już, bądź co bądź, emploi Biuletynu, czy zmiana np. szaty graficznej. Wbrew zapowiedziom-żartobliwkom nie utworzę kącika złamanych serc, przeglądu mody oraz porad seksualnych. Tyle o tym, czego nie będzie, a teraz...

W tym numerze pragnę Wam podesunąć do lektury refleksyjne wspomnienie Wojtka Jóźwiaka, głównie o mamutach, lecz nie tylko. Andrzej Pawlik przedstawia bardziej eseistycznie niż sprawozdawczo obóz sylwestrowy, któremu kierowniczył. Postarałam się też o obraz tego obozu z innych ócz - niewątpliwie urokliwych, bo Malinowych. Wyżej wspomniany już z imienia i nazwiska A.P. popełnił także bardzo ciepły tekst o Kimś Bardzo Ciepłym. Tak trzymaj Andrzeju - łamy B.O. są otwarte. Jurek Łoziński wykorzystał swą bliską, niekonwencjonalną i uczuciową znajomość ze mną i chciał ujrzeć swe nazwisko drukiem, więc dostarczył mini-sprawozdanko ze swego oboziku /dawnego, bo listopadowego/ na Otrycie.

Pomiędzy tekstami zatrzymajcie się nad drobniejszymi formami: wierszami T.A. Olszańskiego, Andrzeja Wiórki. Zamieszczam też z wielką radością wiersz Marka Grancowskiego. Wiersz jest inspirowany pobylem w Chacie. Marek przyjechał na Otryt z ekipą gdańszczan. W tej chwili mieszka i pracuje w łazówce /uczy w szkole/. Dziękuję Ci, Marku za ten pięknie błyszczący okruch poezji.

Ośmielę się teraz zwrócić do wszystkich tzw. starych Otrytczyków o pomoc. Otryt, chata, okolice obrośnięte są legendami, mitami, gawędziarskimi opowieściami. Z biegiem lat opowieści te lśnią większą gamą kolorów, niż na początku, coś się doda, wesprze się ułomną pamięć epizodami niebyłymi. To jest samo życie i przypuszczam, że inaczej być nie może. Nie zamierzam w B.O. drukować "Prawdziwej historii Otrytu" w odcinkach zgodnej z chronologią zdarzeń, bogatej w faktograficzne dane. Pragnę zrobić coś innego. Kusi mnie cykl o wydarzeniach anegdotycznych, satyrycznych, krzywozwiernych. Proszę, abyście pozwolili mi wykorzystać Waszą pamięć. Proszę Was o takie śmieszne wspominki. Chciałabym publikować je w kąciku anegdot, który stałby się integralną częścią Biuletynu. Budowniczo Chaty, starsi stażem Otrytczycy - uśmiechnijcie się do dawnych zdarzeń i pozwólcie nam także się z nich pośmiać razem z Wami. Czekam na odzew!

I tyle ode mnie
Bogna W. /red. nacz. B.O./

Oknem Mamuta

W którymś z ostatnich numerów "Biuletynu Otryckiego" Leszek Filipowicz dzieli się swoimi wspomnieniami, w których, jak się okazuje, mam pewien udział. Jako jeden z Mamutów Otryckich /obok Kliszki, Szczupłego, Bila, Komisarza, Abego X..../ poczułem się do napisania czegoś w rodzaju wyjaśnienia. Bo jedni z Mamutów pozostali w zasięgu Klubu, inni gdzieś poznikali... Więc chcę się wytłumaczyć, gdzie i dlaczego zniknąłem.

Nie budowałem Chaty i początki znam tylko z opowiadań. Okres mojej aktywności w Klubie to 5 lat, do 1981. Od tamtego czasu minęło lat prawie siedem, a 7 lat to jedna ówiartka cyklu Saturna. Średnio co siedem lat zostajemy poddani doświadczeniom, które przebudowują nasz sposób widzenia świata, naszą życiową taktykę, przy czym poruszone zostają elementy codziennego życia: praca, miejsce zamieszkania, stosunki z otaczającymi ludźmi. Gdy kończy się taki okres, coś z rzeczy dotąd bliskich musi nieodwracalnie odejść w przeszłość. Tak było z Otrytem u mnie w 1981 roku. Nie był to przypadkowy kaprys. Poprzez te minione lata widzę, że odszedłem, ponieważ Otryt nie był tym, czego szukałem. Czym nie był? - Można pobawić się w "co by było gdyby". Gdy ktoś niewtajemniczony pyta - co to Otryt? mam dotąd, spore trudności z szybkim wyjaśnieniem. Z dwóch powodów. Po pierwsze, w naszej tradycji kulturowej, mającej odbicie w języku, nie ma wyraźnych wzorców dla takiego przedsięwzięcia. Po drugie, Otryt takim przedsięwzięciem nie był, co najwyżej jakaś jego wątlą i niepewną zapowiedzią. Po wzo-ry trzeba się udać na drugą stronę kontynentu. /Niewiarygodne, jak mało sobie uświadamiamy ciągłość tej bryły ładu, na której siedzimy. A przecież Słowiańszczyzna już dość dawno, w XVII wieku sięgnęła Ałtaju i Sajanów, a z drugiej strony tych gór żyli i żyją ludzie, mówiący "Om Mani Padme Hum"/. Na drugiej stronie kontynentu istnieje tradycja ludzi, którzy czując niewystarczalność potocznego życia odchodzą na ubocze, w góry, lasy lub na pustynię, aby być bliżej swojego ducha i bliżej mistycznego Centrum, które przecież dla każdego jest Tu, w nim, i Teraz, w Tej Właśnie Chwili. Indyjscy ryszi i mahasiddhowie. Chińscy pustelnicy, kontemplujący Tao. Japońscy mistrzowie Zen. Tybetańscy mnisi i naldziorowie.

A więc: przyłączyłem się w swoim czasie do otryckiego towarzystwa, bo widziałem pewne podobieństwa do tamtego wzorca. "Gdy wysiłek skierowany na spełnienie w świecie materii nie daje skutku, bo dać

nie może, odejść na odosobnienie, by kontemplując przyrodę doprowadzić ducha do równowagi i zacząć poszukiwania w dziedzinie wewnętrznej, przez skupienie czyli jogę".

Ale Otryt nie był aśramem. Mistyczne wnikanie w dziedzinę wewnętrzną wymaga przewodnika. Tam prowadzić może tylko ktoś, kto był już sam przed nami. Otryt był aśramem na swoją miarę. Henryk Kliszko był /wówczas, co dziś się z nim dzieje, nie wiem, ufam, że jak wielu Lwów Ascendentalnych "wypłynię" znów około roku 2000.../ - był osobowością charyzmatyczną, miał dar zbierania ludzi, ale Celu i Drogi nie znał. A z nim całe towarzystwo otryckie poruszało się ruchem wahadłowo-zygzakowatym: od Nietzschego do Lenina, od Mistyki Cwhili do Genezy Funduszu... Taki Latający Holender we mgłach. Większość z nas, Mamutów, ma ważny punkt w znaku Ryb: Kliszko i Chrystian Belwit - Słońce, ja i Szczupły - ascendent, Olek Łazarski i Paweł Karpowicz - po Księżycu... Gdybyśmy byli wtedy mądrzy... trzeba było sobie po męsku powiedzieć: "ze Wschodu jest światło Prawdy" /ale z tego prawdziwego Wschodu!/ - i zacząć od robienia asan i ćwiczeń oddechowych, z początku choćby bez przewodnika. Gdy ktoś rzeczywiście potrzebuje i pragnie duchowego mistrza, ci zjawiają się, często nawet w nadmiernej liczbie. Gdybyśmy /wtedy, w latach 70-tych/ umieli wykonać sami pierwszy krok, mistrzowie by się znaleźli. Wtedy przecież nawiązano w Polsce kontakty z Rosim Kapleau, Soen Sah Nimem, Ole Nydahlem. Ale co żałować tego, czego nie było*. Stało się tak, że Klub Otrycki pozostał i trwa, właśnie on jak mamut wśród swoich mgieł. Ci z nas, których karma do tego zmuszała, poszli szukać, każdy na własną rękę. Paweł Karpowicz i ja - po ścieżce wytyczonej przez Budę. Co działo się ze mną? W agencji prasowej "Solidarności" długo się nie napracowałem. Uprawiałem rośliny w Ogrodzie Botanicznym. W Ropkach, w Beskidzie Niskim, harcerzom z drużyny Doktora Jaczewskiego prowadziłem chatę, hodowałem owce, psy i konie /Jowisz wtedy przechodził przez znak Strzelca/. Zacząłem ćwiczyć się w astrologii i jodze pod okiem Leona Zawadzkiego. Jego "aśram" /jakże skromny, gdy od strony materii patrzeć/ na górze Potrójnej był już moim trzecim doświadczeniem wspólnotowym. A niedawno, w 1986-ym, przyjąłem schronienie /...w Buddzie, Dharmie i Sandze/ w linii przekazu Karma Kagyu, u Mistrzów wywodzących się z Tybetu. Jowisz był wtedy w znaku Ryb...

Wojciech Józwiak

* Jakoś w tamtych czasach odkryłem /gdzieś to nawet jest opublikowane/ podział na

trzy nurty, trzy orientacje w postawach naszego pokolenia: nurt tradycyjno-katolicko-narodowy, nurt marksizujący i trzeci nurt egzotyczny. Ciekawe są ich dalsze losy. Katolicycy narodowcy zrobili "Solidarność". "Egzotyczni" zainicjowali największą chyba i ciągle wzrastającą, rewolucję religijną w Polsce, bo tak należy nazwać wejście buddyzmu. Część z nich znalazła ujście dla swych tęsknot w radiestezji i okultyzmie. "Marksizujący" podzielili się. Część kokietowała "konspirę", część wsiąknęła w establichment.

Błażowa Dln, 1988.01.08

Otrycie - Jestem

Jestem w każdym buku na twoich stokach,
W każdym źdźble trawy, w każdym kamyku,
W płomieniu świecy, w żarze kominka,
W świetle pierwszej gwiazdy, zapachu siana,
Złotym blasku słońca na połoninach,
W głosie piły gadającej z drzewem,
W brzęku wiader niosących chłodną wodę,
Stukocie końskich kopyt, westchnieniu drzew,
W szmerach nocy i rosie poranka,
W krzyku ptaka na błękitnym niebie,
Szemrzę w twoich potokach, gadam z wiatrem,
Weiskam się w każdą szparę twojej chaty,
Chcę być wszędzie, w brzmieniu gitar, skrzypiec,
W śpiewie, w rozmowach przed zaśnięciem,
By na koniec wystrzelić skrami w noc
I wtopić się całym sobą w ciebie.
Jestem chociaż mnie nie ma - więc chłońiesz mnie,
Widzisz mnie, słyszysz mnie -
jestem,
trwam,
żyję!!!

Marek Grancowski

Obóz sylwestrowy

Gdy 27 wieczorem zjawiliśmy się sześciuosobową ekipą w Chacie zastaliśmy widok mało zachęcający. Było pusto, ciemno i zimno. Nic w tym niby dziwnego - zdarzało mi się przyjeżdżać do pustej Chaty. Tym razem jednak istniało tam kilka osób /wśród których niestety nie było Waldka/ siedzących zazwyczaj w służbówce. Oprócz nich istniał także tzw. syf - tak w kominkowej, jak i gdzie indziej - nie istniało natomiast drewno, woda i inne tym podobne przedmioty zbytku.

Szczególnie przykry widok przedstawiała kuchnia, w której poza symboliczną ilością kubków nie było chyba nic czystego. Nie chcę tu rozstrząsać problemów winy i odpowiedzialności - zauważę tylko, że byłem przyzwyczajony do nieco innego funkcjonowania Chaty.

Nic to. Od następnego dnia wzięliśmy się do roboty /tu składam podziękowania Michałowi G./ i względnie szybko doprowadziliśmy Chatę do stanu używalności. Powoli zaczęli przyjeżdżać goście, zjawił

się także Waldek. Wydaje mi się, że wszystko toczyło się swoim zwykłym torem. Wieczorami przegrywała nam świetna sześciuosobowa ekipa muzyczna z Gdańska - skrzypce, dwie a w porywach do trzech gitar, nie mówiąc już o wokalach. Zjawili się na Otrycie dzięki Jareckiemu, któremu należy się za to co najmniej pochwała z wpisaniem do akt, tym niemniej warto by załatwiać takie sprawy w przyszłości w sposób bardziej "dograny", co pozwoli uniknąć drobnych, na szczęście, spięć jakie się pojawiły.

W takim stanie dotrwaliśmy do prześwietnego Sylwestra, w którym uczestniczyło ok. 30 osób. Nie było na imprezie trzech chłopców, którzy po mojej /dyskusyjnej, jak się okazało/ decyzji opuścili Chatę rano 31.XII; było za to dwóch nie do końca zaproszonych panów z pewnej instytucji o wątpliwym moralnie statusie wraz ze swoimi niewiastami /nota bene siedzieli w Chacie przez następne trzy dni, ale sprawowali się poprawnie i opuścili nas zadowoleni/. oraz dwoje gości z Dwernika - Basia i Piotr. Myślę, że ta ostatnia znajomość jest wartościowa i należałoby ją podtrzymywać.

Wypada jeszcze wspomnieć o wspaniałych potrawach na czele z pieczonym schabem i bigosem stworzonym na bazie łydki wołowej zakupionej przez Adama Baranieckiego. O północy zesłaliśmy pod wiatę, gdzie przy symbolicznym ognisku popitaliśmy strzałami szampana nadchodzący rok, zaś Krzys K. z ulgą pożegnał rok 1987 wraz z zawartym w nim postanowieniem. Po powrocie do Chaty na szerszą skalę rozpętały się tańce, które trwając /podobno/ do białego rana zaowocowały m.in. małą demolką w postaci przewrócenia choinki. Myślę, że gdyby obecnością swoją zaszczycił nas na imprezie Filip, mogłoby z czystym sumieniem stwierdzić, że "było w pyte"!

Pierwszy dzień Nowego Roku uczciliśmy spacerem Trochaniec-Dwernik-Smolnik-Trochaniec wykonanym w kilkusobowej grupie. Kolejne dni upłynęły pod znakiem rozstań - jak to zwykle bywa Chata powoli pustoszała, aż w poniedziałek wyjechaliśmy ostatnią - siedmioosobową grupą, zamykając obóz. Wydaje mi się, że pomimo pewnych zgrzytów wszyscy sylwestrowicze opuścili Chatę zadowoleni i moja ocena obozu jako udanego nie będzie odosobniona. Duża w tym na pewno zasługa pogody, która przyjęła nas tak, jakby była to wiosna a nie środek zimy: słońce, ciepło, rozwijające się bazy - jednym słowem Wielkanoc.

Wypada tylko życzyć nam wszystkim, aby podczas obozu wielkanocnego sytuacja się nie odwróciła.

Andrzej Pawlik

W dniach 08-11.11.1987 roku odbył się pod moim kierownictwem obóz na Otrycie dla studentów I roku filozofii UW. Wzięło w nim udział 17 studentów /2/3 grupy/

Obóz miał trudne do przecenienia znaczenie dla zintegrowania grupy i stworzenia znakomitej płaszczyzny kontaktów między nimi a mną jako opiekunem roku.

Obóz otrycki jest doskonałą i - w moim przynajmniej przypadku - niezawodną formą działalności wychowawczej. Niemniej urzeczenie Otrytem i Chatką nie przysporzyło - jak na razie - nowych adeptów Klubowi, co w jakiejś mierze wynikało zapewne z krótkości naszego pobytu. Byłoby nieźle gdyby 1-2 osoby z Klubu wzięły udział w obozie, jaki z chęcią zorganizowałbym z tą samą grupą w ostatnich dniach kwietnia 88 r.

Jerzy Łoziński

x x x

Jesionie ruski
spośród jadowitych olszyn
i jałowych sadów;

Jesionie bujny
kryjący w zieleni lata
ramiona krzyża;

Jesionie niepodległy
wczepiony w ziemię i niebo,
nie zabity ogniem ani żelazem;

Jesionie ruski
odpuść mi.

Tadeusz Andrzej Olszański

Wycieczka po angielsku

Jak Otryt długi i stary, wyruszali z Chaty pojedynczo albo grupami Otrytczycy, wyruszali na wielkie wyprawy albo na wycieczki w dzikie, leśne ostępy do starożytnych zabytków, znajomych przybytków gastronomicznych, czasami po prostu spacerowali na przykład dla zżawania pierwszego od tygodnia bezalkoholowego i beznikotynowego oddechu, dla załatwienia potrzeb fizjologicznych w przerwie wielodobowego meczu brydżowego tudzież dla wyświadczenia sobie przysługi seksualnej w atmosferze spokoju i wzajemnego porozumienia. Krótko pisząc, można powiedzieć: Otrytczycy chodzą, chodzą daleko i blisko, długo i krótko, samotnie, parami i w grupach na dwóch, trzech albo i czterech kończynach. Powodowani nieodpartą potrzebą zobaczenia, przeżycia przygody, przebycia 99,2 km /po zastosowaniu tzw. przelicznika Mar-Ar, czyli po pomnożeniu przebytych po szosach kilometrów przez 2,32%/ albo ugazzenia pragnienia /palącego/ pod żubrem, wyruszają niemal o każdej porze dnia i nocy by potem wrócić zgodnie z planem lub kilkudniowym opóźnieniem resztkami sił swoich lub kolegów. Nie obrażajcie się - na szpan otrycki pomieszany z głupotą zapadają prawie wszyscy stale i epizodycznie bywający na Otrycie, łącznie z autorem tych słów, co więcej - w wypadku niektórych osób jest to przypadłość wprost nieuleczalna.

Wszystkim zmęczonym dotychczasowymi wymyślnymi formami poznawania okolic Otrytu proponuję wypróbowanie przepisu na lekkostrawną wycieczkę po angielsku. Autorami pomysłu i zarazem pierwszymi jego wykonawcami byli: Tadeusz G., Zbyszek D., Dorota /nn/ oraz niżej podpisany. Nasza propozycja z pewnością nie zadowoli co bardziej wyrafinowanych gustów. Jestem jednak pewien, że znajdzie wystarczającą liczbę zainteresowanych, aby uzasadnić trud pisanie i wydrukowanie tego tekstu.

Zasadnicza przewaga tego typu turystyki otryckiej polega na tym, że od początku do końca zapewnia uczestnikom pełny komfort psychofizyczny. Powodzenie proponowanego przedsięwzięcia turystyczno-konsumpcyjnego zależy w 75% od pełnego zabezpieczenia osobowo-materia-

łowego, a tylko w 25% od wybranej, mniej lub bardziej przypadkowo, trasy wycieczki. Tak naprawdę trasa sama w sobie nie ma większego znaczenia, między innymi dlatego, że wszystkie szlaki w górach są do siebie podobne: z góry do góry, a potem do góry i z góry itd., itp., aż do znudzenia. Najważniejszą sprawą jest właściwe określenie dystansu do przebycia, co robi się w sposób następujący: od całkowitego przewidywanego czasu eskapady odejmujemy całkowity przewidywany czas posiedzeń konsumpcyjnych oraz kontemplacyjno-konwersacyjnych, w ten sposób otrzymujemy całkowity przewidywany czas efektywnego marszu, pozwala nam to znaleźć się o ściśle określonej porze w zaplanowanym punkcie gastronomicznym, a to w celu spożycia przepisowej ilości zupy chmielowej /regeneracyjnej!/. Teraz pozostaje tylko wyjść i jeśli się to nam uda PKS-em, albo innym stopem przemieszczamy się w pobliże Otrytu. W pełni usatysfakcjonowani fizjologicznie, estetycznie i poznawczo zjawiamy się na kolację, po której w mało dostępnym kącie dzielimy się wrażeniami oraz zawartością przezornie zamelinowanej butelki.

Niewątpliwie najatrakcyjniejszym gwoździem całej wycieczki jest odbycie w połowie drogi pikniku. W tym celu oddalamy się o kilka metrów od szlaku, zdejmujemy plecaki i niespisznie wykładamy zawczasu przygotowany zestaw sprzętów i produktów. A to: kuchenkę benzynową turystyczną, kubki metalowe /po jednym na łeb/, sztucce, haftowany jedwabny obrus, na którym rozkładamy następujące składniki menu: chleb, masło, smalec a'la Komisarz, dżemu dwa rodzaje, konserwy mięsne i rybne, jajka na miękko tudzież na twardo, ser żółty, warzywa świeże /pomidory, ogórki, cebulę, rzodkiewkę, czosnek/, owoce świeże /jabłka, gruszki, śliwki/, przyprawy krajowe /sól, pieprz/. W wersji luksusowej menu wzbogacone zostaje o następujące delicje: kawior, łosoś, bakłażany, trufle, winogrona, banany, ananasy, butelkę szampana oraz przyprawy egzotyczne. W obydwu wersjach /jako, że wycieczka jest po angielsku/ bezsprzecznie najważniejszą rolę odgrywa ceremonia parzenia i picia herbaty /oczywiście angielskiej/. Po dokonaniu niezbędnych przygotowań przystępujemy do spożywania poszczególnych dań, czyniąc to w atmosferze spokoju i beztroskiego odprężenia, kontemplując otaczający nas krajobraz. Odpowiednie oddalenie od szlaku zabezpiecza nas przed zadenantowaniem przez przebiegające co i raz tabuny turystów punktowych zwanych inaczej przelicznikowymi. Należy podkreślić, że oprócz turystów autokarowo-piesznych charakteryzujących się totalnym przepiciem i permanentnym katzenjamerem, turyści kilometrowi należą do gatunku występującego w Bieszczadach najczęściej. Osobnikom tego typu właściwa jest kompletna obojętność na znajdujące się na ich drodze przeszkody, wynikająca z pewnego rodzaju zaślepienia wywołanego żądzą zdobycia następnych punktów GOT-u oraz strugami zalewającego oczy potu.

W wypadku, gdy mija nas wyżej opisana grupa z nonszalancją wnosimy w ich kierunku kubki ze świeżo zaparzoną herbatą ewentualnie kielichy z szampanem. W efekcie poprawia to ich parametry biegowo do tego stopnia, że chwilę później widzimy tylko oddalającą się szybko długą wstęgę kurzu /jeżeli wcześniej nie padał deszcz/.

Pozostała część drogi pokonujemy w niespiesznym tempie, wymieniając uwagi na tematy związane albo niezwiązane z wycieczką.

Andrzej Wiórko

Nieobecny bliski - daleki ale obecny

Wybaczcie mi, proszę, ten może nazbyt patetyczny tytuł /tak zresztą jak i cały tekst/, ale jestem jeszcze pod wrażeniem listu, który czekał na mnie odw kilka dni temu wróciłem z Otrytu

taką przyjemność.

Przybyły z daleka głos należał do Andrzeja Grądzkiego - aktywnego do niedawna Klubowicza, a dziś już szczęśliwego małżonka i /prawie/ ojca rodziny. W liście pobrzmiwało to wszystko, co zawsze z Andrzejem mi się kojarzyło:

ciepło, nieco gawędziarski styl, pewna zaduma z nutą smutku. Może ta ostatnia właśnie najsilniej sprawiła, że poczułem niemal fizyczną obecność Andrzeja takiego, jakiego niedawno jeszcze często spotykałem w Warszawie i na Otrycie. Zobaczyłem Go siedzącego przy kominku i opowiadającego mi "jak to na Otrycie drzewiej bywało".

Bardzo lubiłem te rozmowy /czy raczej monologi/ i wiele mi one dały, nie tylko zresztą w sferze wiedzy, informacji. Zobaczyłem Go więc i uzmysłowiłem sobie, że jeśli taka sytuacja w ogóle się kiedyś powtórzy, to bardzo długo będę musiał na nią czekać.

To normalne, że jedni ludzie dokądś odchodzą, a na ich miejsce pojawiają się inni. Normalne - a jednak smutek...

Na pewno jest więcej takich ludzi jak Andrzej - ludzi, których /my jako Klub/ w pewien sposób utraciliśmy. Niektórzy z nich byli pewnie również bardziej od Andrzeja dla Otrytu zasłużeni. On jest jednak dla mnie osobą szczególną /jesteśmy w końcu doskonałymi wręcz rówieśnikami/ - z nim żyłem się najbardziej i jego właśnie mi teraz w Klubie brakuje.

Pamiętajmy o takich ludziach nie tylko z okazji 15-lecia czy Walnych Zebrań. Pamiętajmy i bądźmy z nimi. Nie pozwólmy, aby pozostały po nich tylko wspomnienia.

A.P.

Natenczas rzekł człowiek do siebie -
Gdzie droga moja a nogi moje niosą?
I stała się jasność w duszy jego;
I rzekł Duch:
Idź a zbawion będziesz pójściem swoim
Stał człowiek, dziwić się począł;
Już rozum zdradę gotował, w krat myśli jasne zakluczył
widzenie
I stał człowiek i dziwił się człowiek,
bo ciemno wokoło
bo drogi żadnej nie było
Natenczas rozum zawezwał na pomoc
by radą sens swój okupił
Ten rzekł:
jest pewność a pewności nie ma
jest droga, której oczy nie widzą a mądrość nie wskaże
Na świt czekać - oto słowo moje.
Przepaść wokoło a cienia mostu nie widać -
Tak myślał człek i zmartwił się on; wola pobiegła do serca
Zamknij oczy - tam słyszy - jest promień we mnie,
jasność jego ślepeca do celu prowadzi.
Oczy twe znaku owego nie zwidzą!
Ten czas ostateczny, do jutrzni daleko
Jest wiara we mnie i pewność jest -
most masz przed sobą, przepaści więc nie ma.
Tak serce rzekło.
Cisza w człowieku zapadła. I stał człowiek,
Dziwił się on, martwił to znowu weselał,
wierzył a pewności nie miał.
Krok pierwszy to będzie czy krok to ostatni.

Andrzej krygował się trochę i wzdrygał przed publikacją tego wiersza, mówiąc, iż nie ma w nim nic o Otrycie.

Według mnie każda twórczość - związana bezpośrednio z Otrytem, czy nie - ludzi kręcących się na orbicie Klubu i Chaty, tzw. Otrytczyków już przez to jest otrycka.

Zachęcam innych do współpracy z Biuletynem Otryckim.

Bogna

Tu miał być tekst Maliny o obozie sylwestrowym. Niestety, Malina z nieznanymi mi powodów nie uraczyła nas swym spojrzeniem na przełom roku na Otrycie.

B.

Jutro zaczyna się tu sezon

Znów biało na dworze i wiatr zimny dmucha,
znów w duszy coś mówi, że w góry czas ruszać.
Już spakowane: dzieci, plecaki, flaszki i gitara.
Społem, pojedynczo na Otryt gna wiara.

x x
x x

Gdy pociąg, autobus wyrzuca nas wreszcie
na dworcu w Sanoku, czy w Ustrzyckim mieście,

jednomyślni idziemy pokłonić się im -
- barom, kelnerkom i znajomym licznym.

x x
x x

Przed "Górską", "Myśliwską", "Turystycznym" barem
chwilę postoiemy, potem prawem starym
przy piwie "Pod Żubrem" skrycie pomarzemy,
z Józkiem, Jurkiem, Bartkiem sobie pogwarzyemy.

x x
x x

Bogusi i Steni wybaczymy z duszy,
serdecznej tkliwości dzisiaj nie zagłuszy
ni piwo ochrzczone, ni śmierdzące danie,
rachunek z kantem czy łacińskie zdanie.

x x
x x

Z Lutowisk, Dwernika, może inną drogą
mocno podniesieni, trochę chwiejną nogą,
przeżarci przez miasto, papierosy, wodę
szukając azyłu od chamstwa i nudy

x x
x x

pójdziemy. Złani potem, z płucami w rękach
już nie klusem - s t e p a

wtaszczy^y na gó^r
nasze plecaki, dzieci, flaszki i gitary
cięższe niż przed rokiem, choć tej samej miary.

x x
x x x

Znów świeca w oddali doda sił i wiary,
wiatr ostudzi głowy, ubędzie ciężaru.
Psy zasz-cze-ka-ją niepewnie spod Chaty,
ktoś zaciekawiony stanie w wiatrołapie.

x x
x x x

To my! To my! Krzykniemy - obozowicze!
Przywitania - męsko ściśnięte prawice,
gorące całusy dziewczyn z własnej woli
za tych co nie mogli - zostali
na dole.

x x
x x x

Za chwilę herbata - mocna i gorąca,
żarty, nowiny, małych spraw tysiące.
Potem gitara, czyjeś pierwsze butelki

Pełny kieliszek k^aż^y z r^ek
i^ke^r o^d i

x x
x x x

Dawne dzieje - dobrze nikomu nieznane,
trzydzieści piosenek śpiewanych na pamięć.
Jak dym z papierosa wszystko to przemija.
Trwa Chata na górze - wspólna lecz niczyja.

x x
x x x

Nim ostatnia świeca przed świtem zagaśnie
ktoś s^pa^dnⁱe ze schodów i siarczyście zaklnie.
Ktoś ciepła u ciała śpiącego szukając
dostanie po mordzie i przyjemność małą.

x x
x x x

Jak wszystkie minione, dzień pierwszy przemija,
nie zmieni się tego, gdy tradycji siła
broni nieugięte starego porządku -

Kobiety i Otryt

Ten odcinek mojej historii Otrytu będzie krótki. Będzie o kobietach; rzecz w tym, że kobiety nie odegrały w historii Otrytu większej roli. To trzeba powiedzieć: Otryt stworzyli mężczyźni. Materialny kształt Chaty i duchowe oblicze ruchu otryckiego były dziełem męskich rąk i umysłów.

Były też kobiety. Były pocieszycielkami, muzami i kucharkami. Były siłą roboczą i natchnieniem otryckich /pożal się Boże/ poetów. Nosiły deski i śpiewały przy kominku. Piły wodę i myły włosy w ostatnim wiadrze wody. Karmiły psy, zbierały kwiatki i gubiły się w lesie. Obcierały nogi do krwi na długich wycieczkach w góry. Przede wszystkim zaś były przyjaciółkami, żonami, kochankami i dziewczynami. Tak jak chciał Zaratustra: były wytchnieniem wojownika.

Lecz Zaratustra uczył także: kobieta jest najniebezpieczniejszą ieraszka. Oto przyjechało kiedyś na Otryt kilka dziewczyn z NRD. Kobiety niemieckie były zdecydowanymi feministkami i wkrótce przekonały do swoich poglądów nasze własne, otryckie dziewczyny. Wspólnie dyskutowały głośno o właściwym ułożeniu stosunków między płciami. Oburzały się na wszelkie prawdziwe i urojone przejawy dyskryminacji kobiet. Podkreślały swoją niezależność na Otrycie /co nawet nie było takie okropne/ swobodnym wyborem partnerów. Wreszcie postanowiły dorównać mężczyznom - Polakom w konsumowaniu napojów alkoholowych. Na jednej z imprez wypiły dużo "grzańca" i wtedy dopiero pokazały co potrafią prawdziwe feministki! Była to prawdziwa noc kobiet. W Chacie zapanowały "seks i przemoc". Nawet najtwardsi faceci chowali się po kątach.

Cóż, takie epizody należą do zamierzchłej przeszłości. Feminizm nie jest już w modzie, zapomniano o nim na Otrycie. W Chacie na obozach jest spokojniej. A kobiety? Nadal są przyjaciółkami, żonami, kochankami itd. I dobrze.

Leszek Filipowicz

P.S. Gdyby ktoś po przeczytaniu tego tekstu nazwał mnie antyfeministą, to z góry kategorycznie protestuję. Jestem kimś wręcz przeciwnym.

Co nowego? - pisze Prezes K.O.

Czytelnikom Biuletynu i wszystkim zainteresowanym sprawami Otrytu donoszę o wydarzeniach, które ostatnio zaszły w Klubie.

Almanach Otrycki

Zawiązała się grupa pod kierownictwem Ewy Lewickiej-Banaszak, zajmująca się przygotowaniem tego wydawnictwa. Liczymy, że okres wpływania materiałów zamknie się z końcem kwietnia 88. Szukamy jeszcze wydawnictwa, które nam to wydrukuje. Rozpoczęte już zbieranie danych empirycznych /na razie test MMPI/, których interpretacja pozwoli być może rodzimym fachowcom stworzyć psychologiczny i socjologiczny opis ruchu otryckiego. Obok licznych materiałów historycznych, Almanach zostanie wzbogacony, mamy taką nadzieję, o efekty literackiej aktywności Otrytczyków. Zamówiliśmy już teksty u pewnych autorów, być może inspiracje otryckie skłonią też i innych do wypowiedzi w almanachowym, bardzo luźno formułowanym, bloku literackim, /eseje, wspomnienia, poezja, wszystko/. Przypominamy termin: koniec kwietnia.

Preliminarz

M u s i m y w lutym definitywnie rozstać się z preliminarzem '86. O przyczynach takiej sytuacji...

kolejny preliminarz /o ile w ogóle uda nam się go uruchomić/ zagospodarujemy rozsądniej i szybciej. Jest to wysoce pożądane, jeżeli liczymy na dalsze finansowanie tą drogą.

Generalny remont Chaty

Wiadomo, że jest konieczny. Brak wiążących ustaleń co do sposobu, w jaki ma być wykonany. Spotkamy się z Rektorem i postaramy się o komisję z Uniwersytetu, która oceniłaby stan techniczny Chaty. Wszystko to znajduje się na razie w sferze pomysłów, ale powinno się w najbliższym czasie wyjaśnić. Póki co, to co możemy zrobić, to gromadzić podstawowe materiały budowlane i rozsądnie je składować. Szukamy też kontaktów ze znajomymi budowlancami i fachowcami - starymi Otrytczykami i ludźmi, którzy bywali w Chacie. Jeżeli realizację remontu przeprowadzi się na drodze: ekspertyza - zakres robót - kosztorys finansowany oddzielnie przez UW - wykonawca /firma/, to na pewno ta sprawa przeniesie się na przyszły rok. Być może uda się to rozwiązać w inny sposób: mniej formalności, większy nasz udział. Inny wariant: opłacenie rzemieślników "z dołu" przez tzw. fundusz bezosobowy, jeśli uda się go załatwić. Wymaga to jeszcze kilku rozmów w Radzie Uczelnianej i na Uniwersytecie. Zobaczymy, co z nich wyniknie.

Polski Klub Ekologiczny

Wybraliśmy się z Leszkiem Filipowiczem na zebranie PKE /okręg Mazowsze/. Odbyliśmy obiecującą /tak ją z Leszkiem oceniliśmy/ rozmowę. Wygląda na to, że możemy sobie coś zaoferować. Z naszej strony mogłyby to być wydawnictwa, kontakty ze środowiskiem akademickim, organizacja spotkań i obozów. Ze strony PKE możemy liczyć na opiekę merytoryczną w planowanych przez nas akcjach. Pierwszym efektem naszej współpracy powinien być obóz wielkanocny. W ciągu tygodnia po świętach chcemy podjąć prace nasadzeniowe lub porządkowe na Otrycie. W realizacji programu naukowego - ekologicznego mają nam pomóc członkowie PKE. Obóz chcemy poprzedzić rajdem kończącym się w Chacie, na który postaramy się ściągnąć nowych ludzi zainteresowanych ekologią i turystyką, by przy tej okazji zaprezentować im Chatę i Klub.

Marek Parzydło